

# REFLEKSJE ZWIĄZANE Z OBECNOŚCIĄ SYMBOLIKI NARODOWEJ W ŻYCIU POLAKÓW NA WSCHODZIE

Krzysztof Jabłonka – *były konsul polonijny w Grodnie i w Charkowie*

Witam państwa serdecznie.

Na Wschód rzuciło mnie trzykrotnie i była to duża przygoda.

Po raz pierwszy w związku z zaproszeniem do Polski młodzieży z Kazachstanu. Zorganizowano ogromną akcję – bardzo zresztą potrzebną – żeby młodzież, która przyznaje się do korzeni polskich, choć niekoniecznie tylko polska, ale w ogóle z Polakami związana, przyjechała i zobaczyła tę Polskę z bliska. Jak to wyglądało?

Ano wyglądało tak, że niemal z marszu, w ciągu dwóch, trzech dni musiałem się spakować i na pół roku zawitać do Moskwy. Tam trwały przygotowania do przyjazdu *Karagandy*. Był to taki gigantyczny ekspres, długi może na pół kilometra, w którym w różnych wagonach siedziały różne *oblastie* Kazachstanu czyli dzieci polskie. Wnętrze takiego pociągu wyglądało jak ogromny autobus, rzędy siedzeń po horyzont i mnie wypadło, z racji pełnienia właśnie funkcji polonijnych, przywitać te dzieci. Usiłowałem to zrobić jak najgodniej. Wszedłem do tego pociągu. Zobaczyłem morze czapeczek, równiutko, wszystkie jednakowe, jednakowe koszulki, tenisówki. Jak sześćset dzieci tam było, tak wszystkie ubrane były niemal dokładnie tak samo. I mówię do nich: „Witam was w imieniu Rzeczypospolitej”. „Dzień dobry Panu” rozległo się na całą tą przestrzeń. Po raz pierwszy zobaczyli kogoś – poza księdzem czy zakonnicą – związanego z Polską. Można powiedzieć, że Polska ich przywitała na dworcu w Moskwie. Następnie trzeba było te dzieci przewieźć na miejsce wypoczynku. Zanim to nastąpiło, razem z panią konsulową wszyscy gotowali bigos, który był bardzo pyszny. Dzieci zdążyły pobyć do następnego dnia w południe, kiedy zapakowaliśmy je już do bardziej europejskich pociągów – kuszetki pociągu odjeżdżającego z Dworca Białoruskiego z Moskwy do Warszawy. Potem nastąpił okres oczekiwania na ich powrót.

Te dzieci, gdy były jeszcze w Moskwie, chciały się czymś odwdzięczyć, sprawić mi jakąś niespodziankę. Nocowałem razem z nimi w polskiej szkole.

Trzeba tu jeszcze dodać, że do tej *Karagandy* dojechały dzieci z Nowosybirska, Tomska, Omska, a także bardzo ważny *Tomsk specjalny* – tzw. „*Tomsk 7*”. To jest taka „trzecia strefa” i jako ciekawostkę można podać, że tam trzeba było mieć paszport, żeby z Tomska 7 do Tomska 5 się dostać. Dotarły także dzieci z Irkucka, a jeszcze dalej nawet z Czyty i dalszych regionów. I właśnie ta grupa syberyjska mnie szalenie zaciekawiła, bo to oni chcieli mi sprawić niespodziankę. *Pan Konsul* – mówią do mnie – „*my zdejajem panu jakąś niespodziankę*”. No to ja słucham co to za niespodzianka. Polegała ona na tym, że oni przepiękną wschodnią mową zaśpiewali „*Jeszcze Polska nie zginęła*”. Jednak gdzieś tam usłyszałem, że w refrenie się ciągle myliły, więc pomyślałem, że muszę im poprawić ten błąd w tekście. Mówię więc: pokażcie mi ten tekst, to ja coś sprawdzę. One mi pokazują, patrzę na tekst, a to są rosyjskie bukiwy. Aż osłupiałem. Pierwszy raz widziałem tekst polski pisany grażdanką. „*A bo my nie znamy polskich liter*” mówią. Zaczęło się od tego i nagle przepaść taka gigantyczna gdzieś na Uralu pękła. Potem zastanawiałem się jak, z jaką delikatnością trzeba teraz do nich podejść, aby ich nie urazić.

Wracając jednak do ich podróży. Przedarliśmy się z nimi na dworzec i pojechały do Polski. Długo czekały na ten wyjazd więc dzwoniły, żeby się nimi na miejscu samorządy zajęły, żeby one broń Boże nie były zostawione same sobie. Dowiedzieliśmy się, że tam gdzieś pada, no to potrzebne są autobusy więc pilnujemy, pilotujemy, nie dajemy spokoju. I trzeba przyznać, że rzeczywiście postarały się te gminy. Jak lało w Krakowie, to dzieci pojechały tam, gdzie nie padało. Znów znad morza gdzieś nad jeziora. A potem powrót. Dzieci przyjechały kompletnie odmienione. Kolorowe czapki, kolorowe ubrania, różnokolorowe torby. I wszystkie te dzieci, a mieliśmy tylko parę godzin, trzeba było przewieźć z Dworca Białoruskiego na Jarosławsko-Rjazański i wyekspediować z powrotem do „*Karagandy*”. Tam, do dalszej podróży, dzieliły się one już odpowiednio, w zależności od miast, do których wracały.

I trafił się przypadek, że jeden autobus – z kawalkady chyba jedenastu autokarów – zgubił się w Moskwie, zatrzymały go światła. Ja na dworcu biegałem, aby go odnaleźć. A ten autokar zajechał przed główne wejście. Wszystkie autokary zajechały z boku, żeby nie przeszkadzać. Te zagubione dzieci musiały się przedrzeć przez ogromną halę zatłoczoną ludźmi. Utworzyły coś w rodzaju klina. Na początku szedł mąż naszej koleżanki konsulowej i prowadził je – niemalże, jak święty Józef albo Mojżesz z laską

– a tłum ludzi koczujących tam rozstępował się przed nimi. Trzeba bowiem nadmienić, że ludzie ci nie czekali przy kasie „chwile”. Oni tam spali, jedli, po prostu organizowali sobie życie, bo to za trzy dni czy za tydzień odjedzie jakiś ekspres. Przedzierające się przez ten tłum, dzieci miały taką niewielką flagę polską, którą ktoś im podarował. Symbol, z którego one były niezwykle dumne i jak świętość ją niosły na przedzie. Jednocześnie maszerując przez dworzec popędzały się wzajemnie, co chwila mówiąc do siebie „szybciej, szybciej”, gdyż trzeba było zdążyć na ten ekspres „*Karaganda*”. Trzeba tu wspomnieć, że ekspres został w ogóle w biegu zatrzymany, aby te dzieci mogły zdążyć. I w pewnym momencie tej wędrówki przez dworzec stało się coś zdumiewającego. Tłum powoli rozstępuje się ale nagle jakiś człowiek z piwem został popchnięty, przypadkowo oczywiście, bo nie było go jak obejść. Usłyszeliśmy: „*Wot priakljajtje Polaki!*”. W tym momencie mną aż coś zatrzęsło. Pomyślałem sobie: Boże, jaka przepaść jest między ludźmi związanymi z narodem i ludźmi bez narodu. Żal mi się tego człowieka zrobiło. On zorientował się, że to jakieś obce ciało się tu wkrada. To był człowiek nie rozumiejący kodu narodowego, nie rozumiejący może nawet tego, że to tylko dzieci.

Myszę, że nasze dzieci z Polski wróciły kompletnie inne. Takie krótkie zetknięcie, taka krótka iskra obudziła w nich dumę z człowieczeństwa. I to jest puenta z mojego „konsulowania” na Wschodzie. Tam polskość nie kojarzy się z barwami narodowymi – kojarzy się z godnością narodu, godnością ludzką. Wielu ludzi na Wschodzie kierowało się do konsulatów polskich, często mając bardzo wątpliwe korzenie polskie. Jednak z krótkiej czy dłuższej rozmowy wynikało: my chcemy być po prostu ludźmi mającymi w sobie jakiś szacunek dla wartości. Ja to tak odbierałem.

Podczas drugiego mojego wyjazdu na Wschód – do Charkowa – zostałem zaopatrzony w tzw. niezbędnik konsularny. Miałem tam różne rzeczy do wyboru, jakieś magnetofony, video itd., ale wziąłem pudło, w którym były pięknie wydrukowane orły polskie, kasety z hymnami i jeszcze na dokładkę ktoś mi dorzucił chyba 10 czy 20 egzemplarzy Konstytucji 3 Maja w reprimie, w ładnej, skórzanopodobnej oprawie. Wziąłem to wszystko ze sobą i tak wyjechałem do Charkowa. Przyszło mi w pierwszym rzędzie, jako konsulowi odwiedzać poszczególne ośrodki polonijne. Ponieważ rzeczy, które zabrałem ze sobą, świetnie nadawały się do skompletowania więc brałem po jednym egzemplarzu konstytucji, do tego flagę, herb i kasetę z hymnem. Pakowałem to razem i jechałem do kolejnych ośrodków polonijnych.

Pierwsze takie spotkanie z Polakami było poświęcone tłumaczeniu hymnu polskiego z polskiego na rosyjski. Co oznacza pierwsza zwrotka, skąd się wziął Dąbrowski, dlaczego Bonaparte itd. Przez jakie morze, jaki Czarniecki, a na końcu jeszcze skąd w hymnie Basia i co to są tarabany. To był elementarz. Nie żałuję tych chwil, bo jako nauczyciel zawsze od tego zaczynam i zawsze się okazuje, że ktoś w klasie nie do końca jeszcze zna znaczenie hymnu, a do czwartej zwrotki nigdy w życiu nie dobrnął.

Z tymi kompletowanymi przeze mnie „zestawami” związana jest również moja inna wizyta, na Krymie. Przebiegała w wyjątkowo podniosłej atmosferze, bo wypadła właśnie Święto 11-go Listopada. W trakcie jednego ze spotkań dostąpiłem największego zaszczytu, jaki w ogóle Polaka może spotkać, a mianowicie pewna starsza pani powiedziała szeptem do towarzyszącej jej dziewczynki: „idź, dotknij tego pana, bo on jest z Polski”. Pomimo, że słowa te wypowiedziane były szeptem, to jednak zdołałem je usłyszeć i w tym momencie – powiem to dobitnie – bardzo się wzruszyłem. Potem ta pani podeszła do mnie i powiedziała: „bo pan jest jak ręce, które do nas wyciągnęła Ojczyzna”. Tak więc ja byłem tylko pośrednikiem pewnych rzeczy, przedstawicielem pewnej organizacji rządowej, narodu, który każe wyciągać do tych ludzi ręce w postaci takiego „szalonego” konsula, który jeździ po różnych miasteczkach, wioskach i rozdaje emblematy narodowe. Środowisko polonijne na Krymie dostało zatem ode mnie ów komplet i od tej pory bez obecności flagi, orła, hymnu i tej pięknie oprawionej konstytucji, na której stała flaga nie mogło się odbyć żadne prawdziwe spotkanie polonijne. Ci ludzie mieli zresztą bardzo trudne przeżycie za sobą, związane z faktem, że na Krymie ruch w środowisku polskim, który przybrał formę stowarzyszenia, organizowało początkowo KGB. Dodajmy na marginesie, że „świetnie” to robiło.

I była tam pewna pani, żona oficera ze Świnoujścia, bardzo dumna z tego, że była w Polsce. Pani ta zagarniała wszystkie dary, które mieli otrzymać Polacy na Krymie i nie przekazywała ich dalej nikomu. Nie była zainteresowana rozszerzeniem działalności. W końcu odebrano jej prezesurę korzystając z tego, że stowarzyszenie było świetnie zarejestrowane (miało statut), i zgodnie z procedurami pozbyto się tej pani. Wtedy podarła ona flagę z wściekłości, że ją wykluczono i dlatego ta flaga na Krymie nabrała natychmiast bardzo istotnego znaczenia. Tak dalece, że miejscowy poeta wyjątkowej kultury, pan Ternawski (czytaj „Tarnowski”), ułożył krótką piosenkę „Jeszcze Polska nie zginęła na Krymie”, która tylko tytułem

nawiązuje do naszego hymnu, bo pozostała treść jest całkiem inna. Piosenka ta warta jest opublikowania razem z innymi poezjami tego poety. Zmarł on jeszcze za mojego pobytu na Krymie i na jego grobie wyrzyliśmy mu następujący tekst „Gdziekolwiek bowiem są Polacy, tam jest i cząstka Polski”. To swego rodzaju puenta z jego poematu.

Z tą moją służbą na Wschodzie wiąże się też inna historia. Otóż bardzo często tamtejsi ludzie, nosząc polskie nazwiska, kompletnie nie wiedzieli, jak z tego korzystać, nie wiedzieli czy są Polakami czy nie. Przychodzili do mnie i prosili: niech pan zdecyduje kim ja jestem. Czułem się jak ksiądz, który ma stwierdzić, jakiej wiary jest dany człowiek. Zaczynało się więc od tego, kim są rodzice, skąd pochodzą itd. I kiedy przyszedł do mnie taki właśnie pan o nazwisku Rączakowski, ja wręczyłem mu pięknie pozłocanego, polskiego orła. Od tej pory nikt już nie śmiał podważać, że ten pan jest Polakiem, ponieważ konsul dał mu „orła”. To była swoista nobilitacja, niemalże jak pasowanie na rycerza, akt wagi państwowej. Aczkolwiek był to pomysł absolutnie mój, wynikający z potrzeby serca, z zastanej sytuacji, no i z tego, że ten człowiek był odręczany przez środowisko Polaków, a szczególnie tzw. „matki Polki”, które reprezentowały pogląd, że „krew polska ma być w stu procentach”, żartobliwie dodając, „no może jedynie z domieszką alkoholu”. I to była tragedia, bo tego człowieka odrzucali ludzie, którzy go nie znali. Dodatkowo byliśmy w środowisku, gdzie tych Polaków zdziesiątkowano. Tam się naprawdę odbył Holokaust. I ci ocaleńcy przychodzili, aby ich zauważyć. Kolejny człowiek to pan Wiśniejewski i jego rodzina. Miał pięć lat jak babcia przy nim „zabyła polskij jazyk” - po prostu dorosli przestali do niego mówić po polsku. A on przychodzi do konsulatu, bo dowiedział się, że ma rodzinę pod Częstochową i chce ją odwiedzić. Pojechał do tej rodziny. Ja tylko skierowałem go do wojewody, by mu pomógł. Ci ludzie chcieli być Polakami, ale ktoś ich musiał jakby przekonać, że mogą nimi być.

Ostatnia moja wizyta na Wschodzie miała miejsce na Kameczatce. Postanowiłem, że i przy tej okazji wykonam jakiś „czyn patriotyczny”, choćby najprostszy. Co to było? Żona dała mi na drogę taki niewielki dzbanuszek gliniany i w ten dzbanuszek miałem włożyć ziemię polską. Ale ponieważ przewieziono mnie dość nagle ze szkoły na lotnisko, to nie byłem w stanie (po drodze) tego uczynić i dosłownie z kwietnika na lotnisku wkładałem tę ziemię. Tam, na Kameczatce, podczas mszy – akurat był dzień Wszystkich Świętych – w tym dzbanuszkę stała świeczka i ksiądz publicznie w czasie

uroczystości powiedział, że w nim jest ziemia przywieziona z Polski. Podkreślił, że przy takim święcie symbolizuje ona tych wszystkich Polaków, którzy między Kameczatką, a Bugiem polegli i tamże spoczywają. Po mszy pewna pani podeszła i pocałowała ten dzbanek. Zapytałem dlaczego to zrobiła, a ona odpowiedziała: „bo ja nigdy nie była w Polsce”. To był dla niej prawdziwy kontakt z ziemią polską. Nawet taki symbol odgrywa rolę. W zamian myśmy przywieźli ziemię z grobów polskich zesłańców.

Na zakończenie dodam jeszcze jedno, taką krótką anegdotę. Była tu już mowa o pokoleniu JP2. Ja również do mojej młodzieży maturalnej mówię: „jesteście pokoleniem JP2”. Któregoś razu ktoś zadaje pytanie: panie profesorze, a JP1? W tej chwili inny go szturcha i mówi: co ty nie wiesz? Przecież to jest Józef Piłsudski.